

Poezja obywatelska

Janusz Drzewucki, *Dwanaście dni*. Wydawnictwo Iskry, Warszawa 2013.

Nie jest to poezja, którą najbardziej lubię: raczej zwięzła, pisana niekiedy symboliczną frazą, stroniąca od opisu. Co gorsza – bo to nie do końca jest „moją bajką” – autor *Dwunastu dni* skwapliwie nadstawia ucha, aby być na bieżąco ze wszystkim, o czym piszą i mówią codziennie media. Dlatego nie mogąc długo znaleźć punktu, którego w trakcie lektury *Dwunastu dni* mógłbym się złapać, pomysł omówienia tomiku Janusza Drzewuckiego miałem ochotę porzucić. A gdyby żadnego punktu w nim nie było? Albo gdyby tych punktów było tak wiele, że wydają się niewidoczne?

1.

Po pierwsze ludzie. Bohaterami wierszy Drzewuckiego są zmarli: Jerzy Lisowski, Ziemowit Fedeci, Henryk Bereza, a szczególnie ciekawa na ich tle jest pani Olimpia, mająca naprawdę na imię Adela, pracująca po wojnie w Czytelniku: „Znaliśmy ją długo, niektórzy z nas nawet / bardzo długo, ale dopiero gdy zmarła / zorientowaliśmy się, że wiemy o niej / tak mało”. Malował ją Jan Młodożeniec, witał się z nią Tadeusz Konwicki, Leopold Tyrmand sportretował ją na kartach *Złego*, z Markiem Hłaską łączyła ją serdeczna przyjaźń. Drzewucki żegna się z nimi i to żegna w sposób ciekawy dla nas – uchyla przecież drzwi, które bywają szczelnie zamknięte. Jest to jednak przede wszystkim to próba dokończenia rozmowy: „nie zdążyliśmy / przecież powiedzieć jej tego, co chcieliśmy”, dlatego Drzewucki odświeża pamięć i mimo że zły na siebie, w końcu pomimo wielu znaków śmierć Olimpii Grochowskiej szczerze go zaskoczyła, z wrażliwością buchaltera utrwala w pamięci cenne historie i stara się im nadać ciąg dalszy. Jak na przykład to, że Lisowskiego nazwał zdrobniale Lisem dopiero, gdy ten umarł. To samo echo pobrzmiewa w utworze *Podzwonne dla Mariana*:

Widzę go jak idzie ulicą Wiejską,
dostojnie i uroczyście; ubrany w jasną
płócienną marynarkę, w kapeluszu,
z laską, jak bohater sztuki Czechowa;
stylizował się nieco na starego poetę,
zupełnie niepotrzebnie, choć trzeba
przyznać, że było mu z tym do twarzy.
(...) we wprowadzeniu do moich
Wierszy wybranych dziwił się, dlaczego
dotąd nie napisałem wiersza o ulicy
Wiejskiej. Napiszę, jeszcze napiszę.

To o Marianie Grześczaku. Kunszt, prostota, a dodatkowo światło, w którego blasku z powodzeniem można się ogrzać – chyba nikt nie zaprzeczy, tak często brakuje go wierszom, i to przecież nie wyłącznie tym pisanym współcześnie. Niech nas jednak nie zwiodą elegancka fraza ani precyzja języka, owo światło kieruje się w wiele stron naraz, tyle jest w nim bowiem „kawioru”, ile „bigosu”, że przywołam fragment wiersza dedykowanego Jerzemu Lisowskiemu:

Jadąc do Paryża, wracał do Francji, jadąc
do Warszawy, wracał do Polski, i tu, i tam,
a raczej: i tu, i tu był u siebie. Namiętnie palił
papierosy, a kiedy rzucił palenie, nie palił
równie namiętnie, lubił czerwone wino, ostrygi,

kawior, oliwki, ale także kaszankę w cebuli,
bigos, golonkę i czystą wódkę. Uwielbiał grać
w brydża, błagał, żebym wreszcie nauczył się
tej gry, zawsze przecież brakowało czwartego.

Rzecz w tym, że poeta tocząc zajmująco i dowcipnie (choć zawsze na serio) opowieść o sprawach tak osobistych, wydaje się być o krok od przejścia z czytelnikiem na ty. W tym samym wierszu o Lisowskim stwierdza: „Skłonny do żartu / zawsze uśmiechnięty, łatwo przechodził na ty”. Sugestia?

Drzewucki bardziej niż kumplem jest aktorem, a miejsce dla czytelnika jest miejscem na widowni, nawet jeśli parę razy zdarza się nam zajrzeć za kulisy. Trochę to przewrotne na pierwszy rzut oka, ale trzeba poecie oddać, że doskonale skrojone – jakbyśmy naprawdę siedzieli z Drzewuckim na piwie, w komitywie podrzucając sobie raz to, raz tamto. Jakby poeta pokazywał na krzesło: „Brakuje czwartego do brydża. Zagramy?”.

2.

Po drugie sport. Jest on dla Drzewuckiego doskonałym pomocnikiem i kalendarium, dzięki czemu wiele sytuacji, które uleciałyby z pamięci, trwają dalej wyraziste – tak jak spotkanie z Lisowskim w trakcie meczu z Francją w 1995 roku. Albo jak powolne, z dnia na dzień, odchodzenie Henryka Berezy, od przewiezienia do szpitala do pogrzebu na Powązkach, gdy każda informacja o stanie jego zdrowia pojawia się w wierszu na tle komentarza do meczu, który akurat tego dnia rozgrywano w trakcie Euro 2012. Kiedy w Atenach kończy się olimpiada, na ulicach Belgradu czuć, że zbliżają się derby, w których wyjdą naprzeciw sobie Crvena Zvezda i Partizan. Jeszcze innym razem podmiot w głębi ducha żałuje, że będąc w Budapeszcie, wylądował na trybunach Honvedu, choć w tym samym czasie grał Ferencvaros. Właśnie: naprawdę żałuje? Jeśli istnieje rama, którą daje się przyłożyć do tych wierszy, a nie jest to ani łatwe, ani też nie musi specjalnie pomóc nam w lekturze tomiku, niech będzie nią zdanie: „niech się dzieje, co chce”. Pogodzenie ze światem, oddanie się życiu w objęcia, branie je w ręce tam, gdzie daje się ono pochwycić. Oczywiście nie bez zdystansowania się czasem od niego i od siebie, w końcu dopadają nas chwile, w których nie mamy już sił: „tak naprawdę nie mogę / już żyć tak, jak żyłem”. Niedługo potem przychodzi moment otrzeźwienia i zebrania się w sobie, żadnego biadolenia, po prostu „nie miałem innego / wyjścia jak tylko / iść przed siebie”.

Mówi nam to sporo o człowieku, który to pisał, znacznie już mniej o samych wierszach, przez które, tak jak przez życie, można płynąć jak rzeka. Miarowo, rytmicznie, niewzruszenie i nieodwołalnie. W ten oto sposób z *Dwunastu dni* łatwo zrobić banalną pochwałę trwania bez trosk, którą tomik nie jest. Zbyt dużo tu pytań bez odpowiedzi, zbyt dużo historii, które kończą się nagle i bez *happy endu*. Zresztą dla samego autora akt pisania, nieodwracalnie konieczny i jakoś tam pewien, pozostaje tajemnicą, zwłaszcza gdy zaczyna się pisać tak intensywnie, jak nigdy być może się nie pisało. Inaczej rzecz ujmując, pewne jest to, że trzeba iść naprzód, ale co wyjdzie nam naprzeciw – oto tajemnica.

3.

Po trzecie zmiana miejsca. Kluczowa nie jest tu jednak zmiana, lecz samo miejsce albo – miejsca. Znamienne, że podmiot nowy rok zaczyna od obietnic, które bez wyjątku dotyczą odwiedzenia tego lub innego miasta. Tak jak ze sportu, tak samo z miejsc, które poznał, poeta buduje punkt wyjścia, punkt oparcia. Zresztą niezupełnie można patrzeć na nie jak na *constans* – znajomi z Budapesztu gdzieś zniknęli, świat zmienia ubiór na bardziej krzykliwy. „Tamten” świat osuwa się w niebyt. Truizm? A to, że człowiek osuwa się razem z nim? „Moje ślady przykrył / piasek, rozmył deszcz, / rozwiął wiatr”. Spróbujmy spojrzeć na sprawę tak: skoro Bóg i wielka literatura stale są deprecjonowani, wręcz unicestwiani, poeta w ich miejsce potrzebuje nowego składnika, a są nim miejsca, które są jak siatka kartograficzna

albo lepiej kompas. Pozwalają ludziom przeglądać się w sobie jak w lustrze nie po to jednak, aby patrzeć wstecz, lecz aby zrozumieć, kim jest się dzisiaj.

4.

Po czwarte Polska. Tyle że są tutaj dwie Polski – Polska A i Polska B: z jednej strony mała, lokalna, cicha, z drugiej ta, która wylega na ulicę i maszeruje w pochodach.

Co sugeruje nam zdanie otwierające tomik „Przyjedź wreszcie do Polski”, w którym poeta zwraca się bodajże do Litwy, aby nie zwlekała dłużej z przyjazdem? Jedni powiedzą: Litwa, inwokacja, dwanaście dni to prawie jak dwanaście ksiąg, czyli nawiązanie do dzieła wieszczka. I będzie w tym, prawdę mówiąc, wiele na rzeczy. Równie ciekawa wydaje się odpowiedź, że Polsce potrzeba czegoś spoza Polski, co ją wypełni, uzupełni, doda jej kształtu.

Polską B jest Pelplin, rynek w Starym Sączu, Kruszwica... Podmiot ma w planach podróż do Oblęgorka, Iłży, Bałamątka. Na drugim końcu tej listy jest Warszawa: miasto w lepkich spalinach, pogrążone w samotności, wijące się z bólu. Gdy bohater *Dwunastu dni* wraca ze wsi, w odróżnieniu od ścian drewnianych, które były ukojeniem, od białych ścian w mieszkaniu bolą go oczy. Wśród potłuczonych butelek po szampanie, między ludźmi, którym wydaje się, że cała Polska należy do nich, gdzieś na drodze od placu Trzech Krzyży do Krakowskiego Przedmieścia można przekonać się samodzielnie, czym jest święto flagi albo jak głośnie bywają pochody pod pałacem prezydenckim. Czy autor od nich ucieka? Skąd, on na swój sposób się z nimi mocuje, uważnie je podgląda, stwierdza nawet mimo lęku i poczucia odosobnienia, że ludzie mają prawo, aby iść w tłumie, wyzywać się i walczyć o „swoje”. A stąd bardzo niedaleko, aby nazwać Drzewuckiego poetą zaangażowanym, choć on sam, pewnie i tak niechętnie, wolałby określenie „poeta obywatelski”.

Tym określenie nie chcę Drzewuckiemu przynieść ujmy. Wprost odwrotnie, od poezji, od literatury w ogóle, często oczekuje się „uścisku z teraźniejszością”. Zaskakujące jest jednak to, jakie poeta zajmuje stanowisko – bo niech każdy uczciwie przyzna, czy wyobraża sobie dyskusję na temat Smoleńska, w której nie jest się ani za, ani przeciw? Gdy zamiast stanąć po jednej lub drugiej stronie, stoi się po stronie własnej? Samemu, a jednak razem. Z dala, ale blisko. Idąc odruchowo pod pałac w dniu tragedii, ale już nie maszerując w pochodach, których inicjatorami są politycy. Taka obywatelskość wydaje się mało wyrazista, trochę nijaka, miałka. To zresztą spore zaskoczenie, bo Drzewucki, człowiek o oku dziennikarza, jest od dziennikarskiej retoryki całkowicie wolny. Taka obywatelskość nie szuka na siłę sprzymierzeńców, jest – albo bywa – głosem do wewnątrz, nie na zewnątrz, dokładnie jak ma to miejsce z poezją.

Aż trudno uwierzyć, że od ostatniego tomiku Drzewuckiego upłynęło piętnaście lat. Poeta w polskim życiu literackim obecny jest od 1983 roku jako krytyk, felietonista, redaktor i dziennikarz, znany głównie z pracy w *Czytelniku* i „*Twórczości*”, a zabranie mniejszych, wcale nie mniej istotnych aktywności pewnie samemu Drzewuckiemu mogłoby przysporzyć sporo trudności. Pytanie nasuwa się samo: dlaczego tomiku *Dwanaście dni* nie okrzyknięto (choćby na wyrost jak krytyka miewa w zwyczaju) wydarzeniem albo literacką sensacją? Snując wokół książki opowieść, że oto na naszych oczach dokonał się *came back* autora o tylu ciekawych twarzach?

To w końcu o tyle dziwne, że żaden wiersz na temat Smoleńska nie przeszedł bez echa, nawet boleśnie ironiczny lub skrajnie, by nie powiedzieć „trumiennie”, patetyczny. A tutaj: „zapadła czarna / cisza”. Coś w tym jest, bo Drzewucki z tematu Smoleńska nie robi igrzyska z widownią w tle. Mimo że „jesteśmy razem, my / wszyscy, w tej godzinie jesteśmy / razem”, po kilku dniach odpuszcza, wyłącza radio i telewizor, mówi szeptem. Pewnie nie tak, jak by tego oczekiwali konserwatyści, ale i nie tak, aby „druga strona” – w zasadzie jakakolwiek strona – chciała go w ogóle usłyszeć. Ciekawe, prawda?

Wiesław Myśliwski stwierdził kiedyś, że „pisać książki powinno się dopiero, gdy człowiek

naprawdę czuje, że nie ma już żadnego innego wyjścia”. Drzewucki nie jest zakładnikiem literatury, on zaledwie „bywa poetą”. Zajęcia, którym autor *Dwunastu dni* oddaje się bez reszty i nieustannie, to podglądanie świata, nazywanie go od nowa jakby to świat a nie autor stale był w ruchu. W recenzji na łamach „Rzeczpospolitej” napisano, że Drzewucki „robi” poezję z okruszków codzienności, nawet ze spaceru pod mostem, ale trzeba od razu dodać, że poeta nie szuka ich na siłę. Okruszki same go dopadają – niesione wiatrem z miejsca na miejsce, słabo widoczne, będące resztą większej całości.

Jacek Marczyński metaforą okruszków trafił w sedno. Idea, która patronuje wierszom Drzewuckiego, jest bowiem prosta, tak prosta, że łatwo ją zgubić z oczu. Rzeczy wielkie – zdaje się mówić poeta – to w istocie wiele rzeczy mniejszych, często banalnie prostych, którymi nikt się nie interesuje. Okładka *Dwunastu dni* przedstawia fotografię wykonaną przez samego autora. Widzimy na niej gołębice, marmurowe sklepienie, staranne wykończenia, ścianę – osobno są prawie niedostrzegalne, razem przykuwają uwagę. Drzewucki zostawia nas w ten sposób z pytaniem: czy widzimy poezję, która jest wokół nas? Widzisz ją? Czy ją widzisz? Jeśli nie, spójrz tam, gdzie nikt się jej nie spodziewa.

Adrian Sinkowski